

Obóz szalonych naukowców

Ostatnio byliśmy na obozie naukowym w Żarach. Przyjechaliśmy zaciętrzewieni i żądni wiedzy, gotowi zgać wyimaginowanych przeciwników naszych teorii i złobić w swoich mózgach nieprzetarte naukowe szlaki. Organizatorzy przygotowali znakomite warunki techniczne obrad, a menu w restauracji zadziwiło swoją różnorodnością. Niestety, uczestnicy obozu byli to przeważnie pseudouczeni, czyli nasi rówieśnicy, którzy przyjechali tu, ponieważ leczyli swoje hiperkompleksy.

Podzieliliśmy się na zespoły. Historycy, jak zwykle, mówili o wojnach, o polskiej Joannie d'Arc, czyli o Emilii Plater, o wielkim dowódcy, jakim był Romuald Traugutt, o Winstonie Churchill, a w końcu, o naszej noblistce Marii Skłodowskiej-Curie. Poloniści rozmawiali o spółgłoskach przedniojęzykowozębowych, o twórczości Gabrieli Zapolskiej, Władysława Stanisława Reymonta, udowadniali, że Leopold Staff był przedstawicielem klasycyzmu, a Leonardo da Vinci wybitnym humanistą. Józek twierdził, że odkrył jakąś wschodniowielkopolską gwarę, Jurek analizował paradygmaty fleksyjne rzeczowników.

Prawdziwą awanturę wywołał referat Kazimierza z Trzebieży na temat opowiadania młodego pisarza Jędrzychowskiego pod tytułem: „Jak żądny rządów Błażej rzekomo rzeško przeżuwał rzeżuchę, ale naprawdę rzewnie i nierzetelnie rzępolił bez żenady”. Były to kosałki – opałki, a nie referat, lecz spowodował on trzyipółgodzinną dyskusję, w czasie której jedni zaczęli się bić, a inni posnęli.

Fizycy poruszali problemy próżni międzygalaktycznej, wokółksiężycowego pyłu, a przede wszystkim czarnej dziury, w której zaprzepaścił się już niejeden superumysł.

Obóz zakończył się wspólnym ogniskiem, na którym odśpiewano Mickiewiczowską „Pieśń filaretów”. Słyszeć było dalekie nawoływanie puszczyka i pustułki oraz jakiejś hieny intelektualnej, która ukryła się w krzakach.

Fajna szkoła

W naszej szkole nikt się nie nudzi. A to jakaś niby-klasóweczka, to znowu odpytywanie pod tablicą bardziej emocjonujące niż superhorror, to Józek spadł ze schodów, to pani od chemii pomyliła klasy, to znowu ukradli szczeżuję. Naprawdę jest fajnie. Można się dużo dowiedzieć. Dzisiaj usłyszałem na przykład, że Anka już nie chodzi z Hubertem, tylko z Heńkiem, że starzy Julka kupili džipa (jeepa), uświadomiłem sobie, że nasza anglistka ma dobry słuch i jest bardzo nerwowa, bo wyrzuciła Jurka za drzwi, gdyż chrupał chipsy w czasie lekcji.

Na języku polskim zrozumiałem, że ortografia jest rzeczywiście trudna, no bo skąd taka niesprawiedliwość w pisowni: ogrodnik wzruszył ziemię, Kopernik poruszył Ziemię, Ameryka Południowa, Polska południowa? Rozmawialiśmy też o pięknie przyrody w „Panu Tadeuszu”, ja dzieła wieszcza nie czytałem, ale tak się rozmarzyłem, że zasnąłem. Śniłem o jeżu, który najeżył się nad jeżyną i wołał jeść jarzyny i jarzębinę niż jarmuż. Było cudownie, ale obudziło mnie chrząkanie Halinki. Na kolejnych lekcjach słuchaliśmy symfonii D-dur Mozarta, nauczyliśmy się o Jagiellonach i o ich walkach z Krzyżakami, potem o chromosomach i mówiliśmy nie najczystsza francuszczyzną.

Najciekawsze były oczywiście przerwy. Jakub półprzypadkowo opowiadał o tym, jak spędził walentynki w towarzystwie Zuzi. Wojtek niczym chyży chart uganiał się za Piotrkim, aż wpadł pod nogi dyrektora, hamując na piętach. Hałas był równie fajny jak na dyskotecie. Piliśmy coca-colę (koka-kolę), która była tak zimna, że aż przyjemnie trzaskało nam na zębach szkliwo. Byłem ubrany superhipermodnie w porwane w czterech miejscach dzinsy (jeansy), więc widziałem, że dziewczyny oglądają się za mną. Aby odnieść ostateczny triumf, opowiedziałem na geografii o Kanale Wieprz-Krzna, ale Halinka, która jest Górnoszlązaczką, uśmiechała się na wpół drwiąco, więc w okamgnieniu straciłem humor. Na szczęście z szafy spadł na Jurka dwuipółkilogramowy globus, więc wszyscy śmiali się z niego.

Dzień okazał się naprawdę udany.

Stuosiemdziesięciolecie szkoły

Henryczek już dwa i pół miesiąca przygotowuje się do obchodów stuosiemdziesięciolecia swojego liceum. Wie, że to najstarsza szkoła na Suwalszczyźnie, którą ukończyło wielu zasłużonych Suwalszczan. I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej co roku wygrywa w miejskich rankingach i zdobywa wysoką pozycję w województwie, a nawet w Polsce.

Henryczek jest dumny z tego, że jego buda zdobyła kilka lat temu nawet dwunaste miejsce w kraju. Renomy nie zdobywa się szast – prast ani w okamgnieniu, a ukończyć tę szkołę to prawdziwy honor, szczególnie dziś, w świecie pseudointelektualnych chimerów. Szykuje się wielki zjazd absolwentów. Henryczek mówił, że przyjedzie jego wujek, który mieszka w Walii, ożenił się z pół – Angielką i uchodzi w rodzinie za arcymędrca.

W czasach licealnych słynął z hiperpracowitości i z tego, że napisał rozprawę o szczężui w trzyipółlitrowym słoiku. Henryczek niby – przypadkiem zwołał koleżków, by odbyć przedzjazdową naradę. Jako drugoklasiści planowali dołączyć do jubileuszu odczyty o Półwyspie Apenińskim, Cieśninie Gibraltarskiej albo o teorii Einsteina czy odkryciach Marii Skłodowskiej – Curie.

Ostatecznie ustalili, że uczestnikom zjazdu zagrają koncert jazzowy (dżezowy). Ponieważ było późno, Henryczek stwierdził, że nie chce ponieważczasie słuchać koszałków – opałków i rad nierad ni z tego, ni z owego, na chybicka wymyślił, że urządzą jarzynową kolację z sałatką rzeżuchowo – bakłażanową i posłuchają nagrań z odgłosami sójki, burzyka i jerzyka. Oj, zjazd będzie na pewno ciekawy, a wujek szczęśliwy.

Przed wakacjami

W szkole jest zawsze arcyciekawie, a szczególnie przed wakacjami. Trzeba jeszcze napisać ostatnie klasówki, poprawić dwóje i dostać szóstkę, a potem ruszyć w poszukiwaniu wakacyjnej hiperprzygody.

Z polskiego omawialiśmy związki frazeologiczne typu pięta Achillesa, syzyfowe prace, objęcia Morfeusza, chodzić od Annasza do Kajfasza, potem analizowaliśmy fragmenty „Chłopów” Reymonta i „Quo vadis” Sienkiewicza. Na historii wyjaśnialiśmy, kim jest Joanna d’Arc, Maria Skłodowska-Curie, kto walczył pod Monte Cassino. Z geografii zaś uczyliśmy się o Górach Świętokrzyskich, o górze Giewont i o klimacie w Nikaragui i Kalifornii. Na szczęście na lekcji biologii nie było klasówki, gdyż spadła z półki szczeżuja i Anetka o mało nie zemdlała, ale natychmiast zerwała się na równe nogi, gdyż Krzysiek chciał jej zrobić sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Na to wszystko poruszył się w gablocie szkielet nazywany Karolem i opadła mu przymocowana drucikami szczeka. Ponoć hochsztapler Pawełek poruszał nią ukrytą nitką.

Na przerwach Julka chelpiła się ekstranowoczesnym laptopem, a chuchro Heniek przechwalał się, że podnosi osiemdziesięciopięciokilogramową sztangę. Hultajowi Jurkowi aż zrzędała mina, gdy usłyszał, że wujek Heńka jest eksministrem sportu. Chichotał na wpół drwiąco z klasowych pracusiów, którzy uczyli się nawet na przerwach. Jeden z nich w okamgnieniu niemal zszarzał z przejęcia, gdy usłyszał, że ma odpowiadać z chemii. Chimeryczny Hieronim huknął na hałaśliwą hałastrę chojraków robiących w holu chryję.

Na szczęście wakacje są tuż-tuż, nadejdą już za kilka dni. A wtedy skwarzenie się na plażach, biwaki i górskie wspinaczki. Już słyszę chrupanie chrustu w leśnych chaszczach, rzeński plusk strumyka i chóralne śpiewy przy ognisku.

Pasje albo nuda

Jureczka nic nie interesuje, nudzi się nicnierobieniem, ciągle jest znużony i półżywy. Nie tylko można by, ale warto by, a nawet trzeba by powiedzieć, że świat należy do pasjonatów. Koledzy mają tyle pasji, a Jureczek, pogrążony w apatii i melancholii, gapi się w ekran komputera. Na pewno to zwykły leniuszek i brak mu wyobraźni. Poza tym zakochał się w Sylwii i studiuje instruktaż „Porady dla chłapiących i cherlawych amantów”.

Andrzej i Józek chodzą na naukę dzudo (judo), ale, jak na dżentelmenów przystało, nikogo nie biją i czasami słuchają dżezu (jazzu), a nawet sami rzępolą na skrzypcach. W szkole jest wielu miłośników muzyki, rządzą rockendrolowcy, którzy żądają banieji dla entuzjastów disco polo (albo dysko). Znacznie mniej jest zwolenników Mozarta, Beethovena czy Chopina.

Jureczek nie lubi muzyki ani czytania książek. Pokłócił się z Justyną, gdyż stwierdził, że Antoine de Saint-Exupéry i Daniel Defoe to autorzy koszałków-opałków, przy których czytaniu ma ataki alergii. Spacery też go nudzą, a w dodatku w ogóle nie zna świata przyrody. Irytuje się, słysząc, że lwipyszczyk to kwiat, a konik polny to owad, a nie część ciała lwa i ssak czterokopytny na polu.

Na fizyce Jureczek nie potrafił obliczyć, z jaką prędkością jechał pociąg, który pokonał pięćsettrzydziestoośmiokilometrowy odcinek drogi w trzy i dwie piąte godziny. Wpierw zszarzał ze złości, potem szerniał, a w końcu tak skoncentrował się przy obliczeniach, że zasnął.

Halinka i Zuzia pasjonują się historią, więc ciągle dyskutują o Piastach, Romualdzie Traugucie, Józefie Piłsudskim czy Winstonie Churchill. Ostatnio czytały o Wiośnie Ludów i o walkach pod Monte Cassino. Klasowi miłośnicy geografii, Henryk i Józek, porównywali Mont Blanc z Mount Everestem, a jako Europejczycy i Ślązacy z pochodzenia stwierdzili, że muszą uzupełnić wiedzę o Pustyni Libijskiej, Bliskim Wschodzie i dawnym amerykańskim Dzikim Zachodzie. W okamgnieniu odnajdują na mapie różne mierzeje i fiordy. Interesują ich też zwyczaje, obrzędy i święta, między innymi takie, jak Wigilia, Wszystkich Świętych, andrzejki, mikołajki.

Zbliżają się piłkarskie mistrzostwa, więc jest nadzieja, że Jureczek zainteresuje się sportem. Może stanie się wówczas żwawy, rześki i chyży, a może zasiądzie tylko przed telewizorem i da się zahipnotyzować wydzierającym się sprawozdawcom, i będzie chrupał herbatniki z chipsami, czyhając na superbramki piłkarskich hiperbohaterów.

Odwiedziny wujka Hieronima

Przedwczoraj odwiedził mnie wujek Hieronim ze swoim kumplem niby-Finem, Józefem z Helsinek, który urodził się w Gdyni, mieszkał w Rio de Janeiro, a w końcu osiadł w Skandynawii. To dwa ultraekscentryczne oryginały. Wujek jest podobny do mumii, na którą przewrócił się w muzeum w Egipcie, a strażnicy nieomal zamknęli go w gablocie. Józef wygląda zaś jak sobowtór Leonarda da Vinci, jest wicemistrzem świata w fantazjowaniu, ale prymat w tej dziedzinie wiedzy wujek, który snuje niezbyt realne opowieści.

Był zszarzały, zwykły dzień, moi goście zasiedli w fotelach i zaczęli pięćipółgodzinne wspomnienia. Wujek wędrował po Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie z eksmonarchą tego kraju polowali na grzbietach koni półarabów. Wśród chaszczy na pograniczu dżungli zaatakował ich lew, przed którym uciekli na drzewo. Gdy po siedmiu dniach planowali zjeść siebie nawzajem, z odsieczą zjawił się pan Józef. Znużeni zanurzyli się w nadrzecznym błocie, gdzie rzucił się na nich żarłoczny krokodyl. Na szczęście odżegnali niebezpieczeństwo, gdy rzucając z przerażenia rzucili w niego odstraszającą petardę.

Wujek już ponoć dziewięć razy przeczytał „Don Kichota” Miguela Cervantesa, jest szarmancki wobec kobiet i głosi wszem i wobec, że ciotka Julka robi najlepsze na świecie dzemy z porzeczek i konfitury z wiśni. Jako rodowity suwalczanin je suwalskie przysmaki z kartaczami na czele, podekscytowany czyta też „Dwutygodnik Suwalski”, poza tym zwiedził wszystkie zakamarki Suwalszczyzny. To niezamożny pseudoarystokrata, który jest jednak bardzo nowoczesny i proreformatorski. Opowiedział z panem Józefem o jakimś hipochondrycznym i chimerycznym hipnotyzerze, który chęłpił się sukcesami w holdingu iluzjonistów, a okazał się hochsztaplerem i hulaką.

Słuchałbym dalej tych opowieści, ale zaczęły mi się dziwnie mrużyć oczy. Gdy po pewnym czasie je otworzyłem, wuja i pana Józefa już nie było.

Egzotyczne podróże

Każdy młody człowiek marzy o dalekich podróżach, o wyjeździe ze zszarzałego miasta w świat rozgrzanych w słońcu plaż, starych zabytków i niezwykłych przygód. Dużo by można opowiadać o wyprawach do Australii, Nikaragui czy Kalifornii, w których wujek Hipolit brał udział. Ostatnio przewędrował region północno-wschodnio-afrykański na grzbiecie konia półaraba. Towarzyszył mu chyży chart myśliwski o imieniu Chrust. Widziałem wujka na zdjęciach w półnagliżu na tle chaszczy i piramidy Cheopsa. Opowiadał, jak znalazłszy się na bazarze, przemówił nie najczystszą francuszczyzną, żądając od Arabów, aby sprzedali mu rzadki egzemplarz mumii. Jako Europejczyk uważał za hańbę, chuligaństwo i przejaw anarchii hałasowanie wśród piramid. W ogóle nie rozumiał kultury Wschodu i nie wiedział, że ludzie impulsywnie wyrażają tam swoje emocje. Mimo wszystko naprawdę chciałbym podróżować razem z wujkiem, choć nie zanadto pochlebnie wyrażała się o nim ciocia Józka. Trudno się jej dziwić, skoro wepchnął ją do wody, w której pływały szczeżuje.

Ponieważ zbliżają się wakacje, mam zamiar namówić wujka na wyjazd na Półwysep Bałkański lub Lazurowe Wybrzeże. Tam spróbowalibyśmy małży i pizz, opalalibyśmy się w słońcu i pływali pontonem. Wujek jest oryginałem, ale arcypocziwym i myślę, że wybierze się w końcu ze mną w ten wyśniony przeze mnie świat.

Przedwakacyjne męki Jureczka

Najtrudniej jest w szkole w czerwcu. Klasówki, dyktanda i wywiadówki, dwóje, tróje, szóstki, ostatnie lekturki. W domu prośby i groźby.

Jurek nie miał już nadziei, że kiedykolwiek doczeka wakacji. Na pół przytomny uczył się chemii i geografii, pisał referat o patriotyzmie, ale myliło mu się językoznawstwo i bruchomówstwo, kąt naprzemianległy z na przemian leżącymi podręcznikami i książkami popularnonaukowymi. Podejrzewał, że to skutki niedotlenienia mózgu. Zachowywał się jak niby-uczony, mówił niby-polszczyzną, liczył nibynóżki u pierwotniaków.

Naprawdę był z niego okrutny próżniak, uwielbiał nicnierobienie i oglądanie musicali. Teraz był nie do poznania, nadrabiał dziewięcioipółmiesięczne zaległości ze wszystkich przedmiotów, uczył się o tym, kiedy panowała dynastia Wazów, co to jest monarchia i jakie dzieła napisał Ludwig van Beethoven, a jakie Daniel Defoe. Zrobił się z niego mickiewiczolog, znawca Półwyspu Bałkańskiego, Mierzei Wiślanej i Polski południowej. Wiedział, czym się różni suwalczanin od Suwalczanina, Azjata od Amerykanina, zastanawiał się, czy słowa „stróżka” i „rzeczulka” znaczą to samo.

Stał się jednak chimeryczny, nie podlewał swojej orchidei, zerwał kalendarz i rozbił zabytkowy kałamarz, przez sen opowiadał legendy, śpiewał też kolędy, jakby w przeddzień lata miało być Boże Narodzenie. Wiezorami, znalazłszy chwilę czasu, czytał dla odprężenia „Słownik języka polskiego”, czasopismo „Mówią wieki” i „Gazetę Współczesną”. Malował też dziwny pejzaż, przypominający kurczaka na rożnie, ponieważ jego talent plastyczny był niewielki.

Całe szczęście, że zbliżały się wakacje. Na razie nie sprzątał jednak w swoim pokoju, który wyglądał tak, jakby prowadził wyprzedaż używanej odzieży. Marzył o chwili, kiedy o zmierzchu nad rzeczką, pod wierzbą zje smażonego węgorza z rzodkiewką, popijając świeżym sokiem z porzeczek. Na razie jednak Jureczek pogrążał się ospale w otchłani wiedzy, aż pewnego popołudnia przeraziły rodzinę odgłosy trąbki, wybuchy petard i straszliwe okrzyki wydobywające się z jego pokoju. Okazało się, że rozpoczęły się Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej 2012. Oj, trudno się w takich warunkach uczyć!

Burzliwa sesja

Samorząd naszej stusiedemdziesięcioletniej szkoły zażądał zorganizowania sesji popularnonaukowej na temat najważniejszych bieżących problemów. Wśród hersztów różnych niby-ugrupowań zawrzało. Po przeprowadzonej na chybcika naradzie ustalono porządek obrad.

Pierwsi wystąpili rockandrollowcy. Henryk tłumaczył istotę ich muzyki i twierdził, że nie przychodzą na dyskotekę, by nachalnie nakurzyć, nachleptać, nachlapać i nachuchać, lecz oddawać się metafizyce. Miłośnicy przyrody wygłosili referat na temat szczeżuj i sójek niezgulek, a koleżanki z kółka historycznego porównywały czasy piastowskie z północnoamerykańskimi wojnami oraz wyposażenie rycerzy lekkobrojných i husarii. Halinka z klasy humanistycznej wywołała burzę wykładem o pisowni przysłówków, jej wystąpienie zakończyło się chichotem całej sali i rzucaniem papierami, a nawet butami.

Józek, znany miłośnik wagarów, uzasadnił w swym odczycie konieczność wprowadzenia dni zamkniętych szkoły zamiast dni otwartych oraz takiego organizowania zajęć, by uczniowie mogli indywidualnie poznawać uroki Suwalszczyzny w czasie świąt takich jak barbórka, walentynki, mikołajki i andrzejki. Arcymądre było przemówienie Honoratki, znawczyni spraw krawiectwa, która tłumaczyła na pół przytomnym koleżankom i kolegom, jak w poprzek naprzemianręcznie stosować ścieg naprzemianległy i naprzemianstronny.

Było bardzo kulturalnie i arcyprzyjemnie, dopóki Jureczkowi nie uciekła tchórzofretka w czasie wygłaszania referatu o przyjaźni ludzi i łasicowatych. Dziewczęta wskakiwały na krzesła i rzucały się do drzwi. Justynka zemdląa aż trzy razy i przystojniak Bartek był zmuszony robić jej sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Szkoda, że takie sesje odbywają się dosyć rzadko.

Niezwykłe urodziny

Hipersupermegafonopumpa zapewniała ekstrasabawę superneokonserwatywnym eksmaminsynkom hołdującym ultrastaromodnym przebojom.

Spotkaliśmy się na urodzinach u Jurka w przededniu zakończenia trzeciej klasy. Ponadsiedemdziesięcioletni dziadek puszczał na tym przedpotopowym gramofonie melodie z czasów swej młodości. Chłopcy rozpoczęli dyskusję o zbliżających się wakacjach. Szczególnie kłócili się o najładniejsze plaże nad Morzem Bałtyckim i o wspinaczkę na górę Giewont. Zdecydowali się nie na Amerykę Południową, lecz na Polskę północną.

Dziewczyny mówiły o bestsellerach w księgarniach, ale i tak uznały, że najciekawszy jest „Mały Książę”, chociaż książkę tę napisał już kilkadziesiąt lat temu Antoine de Saint-Exupéry. Dziadek opowiadał o pseudo-Turku, który sprzedał mu w czasie wojny swoje niezwykle urządzenie grające.

Jedliśmy orzechy i porzeczki. Andrzej czmychnął do spiżarni i dopóty tam stukał słojami i konserwami, dopóki nie przytachał stamtąd konfitur z wiśni. Wieczór był rześki, panował wspaniały nastrój i wszyscy mieli znakomite humory.

Z ogrodu zoologicznego dochodził rzewny głos hieny, a z hipersupermegafonopumpy nastrojowe scherzo i symfonia D-dur Mozarta.

Nowy kolega

Jerzy opowiadał o tym, jak rzeżąca szczeżuja razem z gnieźdzącą się za pierzeją piegżą o szarobrazowym upierzeniu udały się do gżegżółki. Byliśmy już znużeni tą niezbyt mądrą opowieścią, gdy do klasy wszedł nowy uczeń, phnompeńczyk z Kambodży. Był to eks-Azjata, który w przeciwieństwie do innych nie-Polaków mieszkał już jakiś czas w naszym kraju w okolicach Chociebuża

Przyjęliśmy go nad miarę serdecznie. Jakub zaśpiewał mu z playbacku o jeżozwierz z Suwalszczyzny, a potem wyściskaliśmy go po ojcowsku. Henryk chichotał na wpół drwiąco z klasowych chuliganów, którzy robili przerażające miny, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Przybysz spoglądał zszarzały z przerażenia i odezwał się do nas nie najczystsza francuszczyzną. Mówił, że jego matka to Kazaszka, a ojciec urodził się na Półwyspie Indochińskim. Kazaliśmy mu mówić po polsku, co było nie najłatwiejsze w jego przypadku. Powiedział półoficjalnie, że jego rodzice mają minibar, do którego nas jutro zaproszą. Wybuchła pięcioipółminutowa wrzawa, którą przerwało wejście wychowawcy.

Nasz polonista przeprowadził lekcję na temat Sienkiewiczowskiego „Potopu” i zapowiedział dyktando z wyrazów typu: ogólnodostępny i ogólnie przyjęty, kogel-mogel i łapu-capu, jasnoniebieski i półjedwab. Potem kazał nam napisać w domu twórcze wypracowanie na temat: „Inhalacje chytrego hydraulika na hamaku”.

Nauczyciel historii nie znosi nibynaukowych dyskusji, w których uczniowie mylą dynastie Piastów i Jagiellonów, a także Wiosnę Ludów z pierwszą wojną światową. Nasz nowy kolega wykazał się znakomitą wiedzą z historii Dalekiego Wschodu, w związku z czym zrzędy nam miny. Spodobał się nam od razu i naprawdę. Nie bez znaczenia był fakt, że mamy iść jutro do jego baru na przyjęcie.

Lekcje dłużyły się nieznośnie, więc przysypialiśmy z wpółotwartymi oczami.

Na harcerskim obozie

Z ponad sześćdziesięciu harcerzy, którzy przyjechali na obóz, tylko dwóch druhów spóźniło się na zbiórkę. Wymaszerowano by szybciej, ale wszyscy czekali na Henryka i Jurka. Czmychnęli wczesnym rankiem i wrócili wpół do dziesiątej. Rozpoczęła się zabawa. Budowano wigwamy, rzucano tomahawkami, odbył się nawet quasi-pojedynek dwóch wodzów. Andrzej wyglądał jak pół-Indianin w zrobionym naprędce pióropuszu. Zheblował deskę i zrobił z niej wążutką włócznię, którą groźnie wymachiwał.

Doszło do chryi, gdyż chłopcy próbowali sczyścić znaki Apaczów na czóźnie, ale połamali przy okazji burtę. Rozległ się chichot Michała, którego prapradziad pochodził z Żywiecczyny i był cieślą. Michał twierdził, że potrafiłby naprawić łódź, ale drużynowy bał się prosić o pomoc tego niby-specjalistę. Apacze zagrozili wojną Irokezom i nawet drużynowego oskarżyli o współsprawstwo, lecz on odżegnał się od hałastry, która tak poharatała tę piękną łódkę. Niezadługo trwały kłótnie, gdy ni stąd, ni zowąd pojawiła się cała wataha supersprzymierzeńców. Był to zastęp Siuksów. Zakrzyczeli Apaczów i zastraszyli ich swoim wyglądem, gdyż byli wymalowani w jaskrawe wojenne bohomy. Wódz Apaczów stał rozchełstany na rozchybotanych nóżkach i wydawał rżące odgłosy, a w jego obozie zapanował chaos. W końcu, zżymając się nie na żarty, zażądał jako odszkodowania piętnastu łuków.

Awanturę zakończyła straszliwa ulewa, przed którą pseudowojownicy uciekli do namiotów i znużeni wespół odrętwieli na swoich posłaniach. Na nic się zdało podżeganie do zemsty przechery Artura. Nikt nie chciał nurzać się w błocie i moknąć jak bobry w żeremi. Wszyscy zapadli w dwuipółgodzinną drzemkę.

Marek Urbanowicz